

KOMEDIA ROMANTYCZNA Z KOLCAMI

SARAH HAYWOOD

KAKTUS

POZNAJCIE SUSAN,
NAJBARDZIEJ
KŁUJĄCĄ BABKĘ
NA ŚWIECIE!



ALBATROS



Tytuł oryginału:
THE CACTUS

Copyright © Sarah Haywood 2018
First published in Great Britain in 2018 by Two Roads,
an imprint of John Murray Press.
Published by the agreement with Lutyens & Rubinstein Literary Agency
and Book/lab Literary Agency, Poland

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2021

Polish translation copyright © Anna Dobrzańska 2021

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Ilustracje na okładce: © Moremar/Shutterstock.com,
© Khuan/Shutterstock.com

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Wydawca
Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



1

Nie jestem kobietą, która żywi urazy, rozpamiętuje sprzeczki czy kwestionuje motywy innych ludzi. Nie uważam też, że za wszelką cenę muszę mieć ostatnie słowo. Jeśli zaś chodzi o zasady, to zawsze są wyjątki. Nie będę stała z założonymi rękami, kiedy jeden człowiek wykorzystuje drugiego, i sama również nie dam się wykorzystać; zrobię wszystko, co w mojej mocy, by sprawiedliwości stało się zadość. Nic więc dziwnego, że po tym, co wydarzyło się w tym miesiącu, nie miałam innego wyboru, jak tylko natychmiast podjąć stanowcze działania.

O śmierci matki poinformował mnie brat, Edward. Chociaż była dopiero piąta trzydzieści, nie spałam; wisiałam nad muszlą klozetową, zastanawiając się, czy wymiotować, czy przetrzymać nudności. Wymioty przynoszą kilkuminutową ulgę, ale niedługo potem wracają, więc przeprowadziwszy analizę zysków i strat, doszłam do wniosku, że lepiej będzie, jeśli po prostu wytrzymam. Podziwiałam swoje niezdrowe odbicie, kiedy w kuchni rozdzwonił się telefon. Ponieważ tylko nieliczni

dzwonią na mój numer stacjonarny, wiedziałam, że to coś pilnego i że chodzi o matkę. Jak się okazało, nie było to nic pilnego, a brat zadzwonił o tak wczesnej porze chyba tylko po to, żeby mnie zaskoczyć.

– Suze, to ja, Ed. Mam wiadomości i nie są one dobre. Może lepiej usiądź.

– Co się stało?

– Nie wiem, jak to powiedzieć... Obawiam się, że...

– Edward, weź się w garść. Jest w szpitalu?

– Ona odeszła, Suze. Umarła w nocy. Wróciłem do domu koło drugiej. Byłem u kumpla, wypiliśmy kilka browarów. Światło w jej sypialni nadal się świeciło, więc zapukałem i zajrzałem do środka. Siedziała tak, że od razu wiedziałem, że coś jest nie w porządku. Lekarka pierwszego kontaktu powiedziała, że miała rozległy udar. Nie mogę w to uwierzyć.

Przełknęłam podchodzącego mi do gardła pawia i usiadłam przy kuchennym stole. Przez chwilę zgarniałam na kupkę okruchy tostów.

– Suze... Suze?

– Miała siedemdziesiąt osiem lat – odezwałam się w końcu. – I była po dwóch udarach. Można się było tego spodziewać. – Zawahałam się. Wiedziałam, że powinnam okazać współczucie, ale jeśli chodziło o brata, nie przychodziło mi to łatwo. – Pewnie znalezienie jej nie było najprzyjemniejsze – dodałam. – Przepraszam, nie mogę teraz rozmawiać, muszę szykować się do pracy. Zadzwonię później. I... Edward?

– Tak, Suze?

– Proszę, nie nazywaj mnie Suze.

Nie spodziewałam się, że zostanę sierotą w wieku czterdziestu pięciu lat, kiedy to większość ludzi wciąż ma oboje rodziców. Ale moi rodzice byli po trzydziestce, kiedy przyszłam na świat, a do tego ojciec zmagał się z pewną przypadłością, która znacznie skróciła mu życie. W ciągu ostatnich lat nie widziałam się z mamą tak często, jak powinnam. Jestem urzędniczką administracji państwowej pracującą w Project Delivery (analizujemy skomplikowane dane i sporządzamy szczegółowe raporty), więc jeśli godzinami nie ślęczę nad zapisanymi małym drukiem dużymi liczbami, staram się odpoczywać.

Kolejnym powodem moich rzadkich wizyt u matki było to, że Edward znów z nią zamieszkał, a on i ja – ogólnie mówiąc – mamy inne poglądy na życie. Prawdę mówiąc, świetnie nam idzie schodzenie sobie z drogi. Jest zaledwie dwa lata młodszy ode mnie, ale jeśli chodzi o jego rozwój emocjonalny, dzieli nas co najmniej trzydzieści lat, a to znaczy, że mentalnie Edward wciąż pozostaje nastolatkiem. Bynajmniej nie dlatego, że jest opóźniony, ale dlatego, że ma słaby charakter i lubi sobie dogadzać. Podczas gdy ja ciężko pracowałam, żeby mieć dobrą pracę i stabilną sytuację, Edward zmieniał kolejne kiepskie prace, nic nieznaczące związki i obskurne mieszkania. Nic dziwnego, że po czterdziestce znowu zamieszkał z mamą.

*

To szok, kiedy dowiadujesz się, że zmarł ktoś z twoich bliskich, nawet jeśli ten ktoś był stary i schorowany. Musiałam posiedzieć kilka minut w ciszy i spokoju, żeby zebrać myśli. Uznałam, że ponieważ ja jestem w Londynie,

a ciało matki w Birmingham, na nic się nie przydam. Postanowiłam pójść do pracy i zachowywać się normalnie, a przynajmniej tak normalnie, jak można się zachowywać, kiedy człowieka ciągle mdli. Nie zamierzałam mówić w pracy o tym, że umarła mi mama. Wyobrażałam sobie zamieszanie wokół mnie, te westchnienia, lepkie objęcia i smutek na twarzach kolegów oplakujących kogoś, kogo w życiu nie spotkali i o istnieniu kogo nie mieli bladego pojęcia. Jakoś mnie to nie kręci.

Wychodząc ze stacji metra nieopodal biura, w którym pracuję, poczułam falę gorąca, od którego rozmiękł świeży asfalt położony przed wejściem. Hałas i spaliny z wlokących się sznurów samochodów wydawały się intensywniejsze niż zwykle, a promienie słońca aż kłuły w oczy. Gdy dotarłam bezpiecznie do swojego biurka w najcichszym kącie dużej otwartej przestrzeni biurowej, włączyłam wentylator i skierowałam go na twarz. Nieco ożywiona, jak zwykle rano, poświęciłam kilka minut, przyglądając się kaktusom, które ustawiłam na biurku. Upewniłam się, że nie gniją, że żaden z nich nie więdnie z braku wody, omiotłam je pędzelkiem z delikatnego włosia, sprawdziłam, czy kompost w doniczkach ma odpowiednią wilgotność, i obróciłam je, żeby miały równy dostęp do światła słonecznego. Dopiero wtedy otworzyłam teczkę z aktami. Miałam nadzieję, że borykanie się z wyjątkowo trudnym raportem, który z końcem przyszłego tygodnia miał trafić na biurko kierownika działu, pomoże mi zapomnieć o tym, co wydarzyło się rano.

Dla kogoś, kto skończył studia prawnicze, moja praca nie jest może szczególnie fascynująca, ale ją ją lubię. Większość ludzi z mojego roku została notariuszami

albo adwokatami, ja jednak wołałam bezpieczną posadkę w sektorze rządowym: przewidywalne, choć skromne pensje, całkiem znośny plan emerytalny i fakt, że nie będę narażona na kaprysy współpracowników czy szefów kancelarii. Chociaż nie pracuję w zawodzie i nie mam umiejętności, których nabyłabym, pracując w kancelarii, znajomość prawa i biurokracji przydaje się, kiedy muszę rozpatrzyć skargę.

Gdyby nie to, że pracuję z ludźmi, przebywanie w biurze byłoby całkiem znośne. Tymczasem dziś ilość kłopotów i utrapień, z którymi musiałam się zmierzyć, wydawała się większa niż zwykle. Na przykład była dopiero dziesiąta trzydzieści, gdy poczułam zapach chińszczyzny, którą jeden z moich przysadzystych kolegów lubi przed południem podgrzewać w mikrofalówce w naszym maleńkim aneksie kuchennym. Żółć podeszła mi do gardła i jeśli chciałam uniknąć sprintu do toalety, musiałam czym prędzej napić się czegoś zimnego. Podeszłam do dystrybutora wody, gdzie na swoje nieszczęście spotkałam Toma, energicznego asystenta administracyjnego, który niedawno dołączył do zespołu i w którego bujnej brodzie zobaczyłam okruchy bagietki ze śniadania. Na jego widok zdałam sobie sprawę, że zaraz ziryтую się jeszcze bardziej.

– Cześć, Susan, właśnie o tobie myślałam. Założyłam grupę na Facebooku, żeby umawiać się na wyjścia do pubów i dzielić informacjami. Jeśli wyślesz mi zaproszenie do grona znajomych, dodam cię do grupy.

– Pracujesz tu od niedawna, prawda? – wydusiłam, kiedy woda z bulgotem spływała mi do kubka. – Wszyscy wiedzą, że nie mam konta na Facebooku.

– O jacie, poważnie? No to jak kontaktujesz się z

ludźmi? Jesteś na Instagramie albo na WhatsAppie? Tam też mogę założyć taką grupę.

– Nie ma mnie *nigdzie*. Zwykle dzwonię albo wysyłam wiadomości.

– Nie! No, to dobre dla twojej mamy albo kogoś takiego. A jak utrzymujesz kontakty z ludźmi ze szkoły albo studiów? Co z twoim życiem towarzyskim?

Nie byłam w nastroju na takie rozmowy. Z jakiegoś powodu piekły mnie oczy – może oświecenie w biurze było za ostre. Wy tłumaczyłam, że nie mam ochoty utrzymywać kontaktu z ludźmi, których znałam przez chwilę kilka lat temu, a moim życiem rządzi prostota. Jeśli więc będzie chciał poinformować mnie o biurowych spotkaniach albo przekazać mi jakąś ważną wiadomość, ma mi wysłać maila. Mogłam zaproponować, żeby przeszedł piętnaście kroków dzielące jego biurko od mojego, ale wolałam go nie zachęcać.

Tuż po trzynastej, kiedy wyrzucałam do kosza kanapkę z białego pieczywa z masłem, którą miałam nadzieję zjeść, i kolejny raz próbowałam zebrać myśli, zobaczyłam Lydię – trzydziestoparolatkę i od niedawna singielkę – przemyskającą pod ścianami biura. Co chwilę zerknęła na opaskę na ręce. Zamierzałam zabrać się za analizę arkusza kalkulacyjnego, który wydrukowałam tuż przed krótką przerwą, ale biurowe spacery koleżanki sprawiały, że nie byłam w stanie się skupić.

– Lydio, celowo jesteś taka wkurzająca? – warknęłam, gdy czwarty raz mijała moje biurko.

Odparła, że na urodziny dostała opaskę monitorującą aktywność i musi wychodzić dziennie dziesięć tysięcy kroków, żeby wrócić do formy teraz, kiedy „wróciła do

gry”. Sama też byłam singielką, ale w przeciwieństwie do niej nie zdecydowałabym się na taki dobór słów. Przy piątym okrążeniu zapytałam ją, dlaczego nie chodzi na zewnątrz, jak normalny człowiek. Najwyraźniej nie mogła. Umówiła się wieczorem na randkę w ciemno i nie chciała – brudna i spocona – ganiać po ulicach. Przy szóstym okrążeniu powiedziała, że sprawiam wrażenie tak zainteresowanej tym, co robi, że może chciałabym się przyłączyć. Odmówiłam. Przy siódmym okrążeniu miałam ochotę ją udusić. Rozpaczliwie potrzebowałam ciszy i spokoju, żeby przetrwać jakoś ten koszmarny dzień. Zaproponowałam, żeby przeniosła się na schody, dzięki czemu dwa razy szybciej spali z tyłka nadprogramowe kilogramy.

– Zrozumiałam aluzję, Susan – burknęła, zmieniła kierunek i wyszła przez drzwi wahadłowe. Jestem pewna, że nie tylko ja odetchnęłam z ulgą.

*

Wczesnym popołudniem Tom – rywalizujący z Lydią o tytuł najbardziej irytującego człowieka dnia – podszedł do mojego biurka. Próbowałam go ignorować, ale najwyraźniej uparł się, że będzie tak stał, dopóki nie zwrócę na niego uwagi.

– W przyszłym miesiącu robię charytatywną rundkę po pubach i zastanawiałem się, czy nie chciałabyś mnie sponsorować – powiedział. – Mogę podesłać ci linka do strony wydarzenia, skoro w najbliższym czasie nie zamierzasz korzystać z żadnych dobrodziejstw dwudziestego pierwszego wieku.

– Na co zbierasz pieniądze? – spytałam, odkładając

długopis.

– Jeszcze nie zdecydowałem. Wiem tylko, że muszę zrobić ze swoim życiem coś pożytecznego. Może zrobię to dla pand... uwielbiam pandy... albo żeby powstrzymać globalne ocieplenie, bo to coś, czym w tej chwili naprawdę się przejmuję. Jest tyle szlachetnych celów. Od czego zacząć? – Zrobił przesadnie smutną minę.

– Słyszałam, że Stroke Association* robi bardzo dobrą robotę – powiedziałam. Nie wiem czemu, ale znowu zaczęły mnie piec oczy.

– Może, ale to mało seksowne. Zresztą wydaje mi się, że mój kumpel w ubiegłym roku zgolił brodę dla osób po udarze. Chcę zrobić coś innego.

– W takim razie wróć, kiedy już coś postanowisz – odparłam, odwracając się od niego.

Ostatnio wszyscy w biurze zbierają pieniądze na szczytne cele. Kiedyś takie rzeczy zdarzały się raz, dwa razy w roku, a teraz bez przerwy słyszę o wspieraniu tego, sponsorowaniu tamtego: chodzą, biegają, jeżdżą na rowerze, pływają, wspinają się, zjeżdżają na linie, wędrują, brodzą w błocie. Nie to, żebym się skarżyła. Wręcz przeciwnie. Całym sercem wspieram osoby, które zużywają nadmiar energii dla dobra innych, zamiast dla siebie – nie licząc płynących z tego korzyści zdrowotnych i szlachetności takich zachowań. Mimo wszystko interakcje personalne, które stanowią ich nieodłączną część, mają wpływ na wydajność biura. Doszłam do wniosku, że powinnam porozmawiać ze swoją przełożoną, Trudy,

* Brytyjska organizacja charytatywna wspierająca osoby dotknięte udarem, finansuje badania i kampanie na rzecz praw osób po udarze mózgu.

choć wcale się do tego nie paliłam. Zresztą Trudy okazała się kolejnym utrapieniem.

Trafiła do naszego działu tego samego dnia i na to samo stanowisko co ja, tak dawno temu, że wołałabym o tym zapomnieć. Z początku męczyła mnie, że w przerwie na lunch wychodziła z nią na kawę albo wyskakiwała na kieliszek wina po pracy, wkrótce jednak uświadomiła sobie, że marnuje czas. Odtąd Trudy zdobywała kolejne szczyty firmowych stanowisk – po drodze czterokrotnie będąc na urlopie macierzyńskim. Zdjęcia produktów końcowych tych przerw stały w widocznym miejscu na jej biurku w całej swej piegowatej i krzywozębnej okazałości.

Kiedy odchyliła się na krześle i uśmiechnęła pobłaźliwie, wyjaśniłam, że efektywność zespołu poprawi się, jeśli raz w miesiącu w wyznaczony dzień pracownicy będą mogli zareklamować swoją działalność charytatywną, znaleźć sponsorów i zebrać prawdziwe pieniądze. Trudy, która – jak zakładałam – próbowała być zabawna, odparła, że może byłoby lepiej, gdybym raz w miesiącu przedstawiała swoje pomysły na to, jak podnieść wydajność zespołu. Rozbawiło ją to, mnie jednak nie było do śmiechu. Może wyczuła, że nie spodobała mi się jej reakcja, bo uśmieszek spęzł jej z twarzy, a w jego miejsce pojawiła się troska. Spytała, czy dobrze się czuję i czy nie złapałam przeziębienia, które atakowało kolejne osoby w biurze. Kiedy podsunęła mi pod nos pudełko chusteczek, przeprosiłam ją i wyszłam z pokoju.

*

Osiemnasta trzydzieści. Jedynym dźwiękiem było odległe buczenie odkurzacza, które przybierało na sile,

w miarę jak urządzenie zbliżało się do pustego teraz biura, a w mojej głowie znowu rozpychały się niesforne myśli. Wyłączałam komputer i chowałam telefon do torby, kiedy Constanta, nasza sprzątaczką z Rumunii, otworzyła pchnięciem drzwi i dysząc, weszła do biura. Przygotowałam się na zwykłą wymianę uprzejmości.

– Dobry wieczór, Susan. Jak się masz?
– Doskonale – skłamałam. – A ty?
– Dobrze, dobrze, zawsze dobrze. Jesteś ostatnia?
– Jak zawsze.
– Ciężko pracujesz, zupełnie jak ja. Nie jak reszta tych obiboków.

Podeszła do mojego biurka, pochyliła się i zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu. Jej oddech parzył mnie w ucho.

– Ten tam... rzuca na podłogę brudne chusteczki. Chusteczki pełne smarków i glutów. Fúj. A tamta... na jej biurku zawsze pełno kubków upakowanych tłustą szminką. Czemu nie zanieś ich do kuchni? Ma tu połowę szafki z kubkami. Kiedyś sprzątałam jej biurko, ale teraz się nie przejmuję. Nie jestem jej matką. Duże dzieci. – Prostuje się. – A więc, Susan, dalej nie masz męża?

Gdyby to był ktoś inny, odparłabym, że to nie jego sprawa, ale ona i ja odbywamy tę samą rozmowę codziennie i znam już swoją kwestię na pamięć. Mówię jej, że chyba sobie żartuje.

– Bardzo rozsądnie! Mężczyźni! Harujemy w pracy, żeby zarobić pieniądze, a potem wracamy do domu i znowu harujemy. A co oni robią, jak skończą pracę? Rozsiadają się i myślą, że będziemy im usługiwać, albo znikają. Bóg wie gdzie i wracają do domu z pustymi kieszeniami. Mój

własny mąż, Gheorghe, zniknął, rozplynał się w powietrzu jak dym... puf!... i już go nie było. Zostawił mnie z czterema córkami. Teraz wszystkie są mężatkami, ale ich mężowie są niewiele lepsi. Sprzątam w trzech miejscach, żeby wysłać im pieniądze. Mówię im, żeby chowały je pod podłogą.

– Szczęście, że mają taką matkę – powtórzyłam, sprawdzając, czy mam w kieszeni kartę Oyster*, po czym wyłączyłam wentylator. Nagle zamarłam; dziś te słowa zabrzmiały jakoś inaczej.

Constanta rozpromieniła się.

– Jesteśmy takie same, ty i ja. Wiemy, czego chcemy od życia, i wiemy, jak to dostać. Nie przejmujemy się tym, co myślą inni. Dobry z ciebie człowiek, Susan.

Chciała uszczypnąć mnie w policzek, ale przypomniała sobie, że tego nie lubię, i poszła w drugi koniec pomieszczenia, żeby podłączyć odkurzacz. Kiedy wyszłam z biura i znów uderzyła we mnie fala gorąca emanującego z płyt chodnikowych, byłam zadowolona, że zdołałam przeżyć kolejny dzień, pomimo kłód rzucanych mi pod nogi przez moich współpracowników. Nikt by się nie domyślił, co wydarzyło się dzisiaj rano. Ale z drugiej strony ukrywanie uczuć zawsze przychodziło mi łatwo. Zobaczycie: mam do tego prawdziwy talent.

*

Po powrocie do domu zadzwoniłam do Edwarda. Dziwnie było rozmawiać z nim dwa razy dziennie i choć

*Oyster card – bezdotykowa karta elektroniczna dla osób korzystających z transportu miejskiego w Londynie.

raz prowadzić z nim uprzejmą rozmowę. Okoliczności sprawiły, że musieliśmy zapomnieć o dzielących nas różnicach i zjednoczyć siły, przynajmniej do czasu pogrzebu i podziału majątku. Poinformował mnie, że kontaktował się z zakładem pogrzebowym i wstępnie zaplanował pogrzeb na przyszły piątek. Powiedział też, że zwłoki zostaną skremowane. Nie miałam nic przeciwko temu; nie pojmuję, dlaczego ludzie chcą, by ciała ich bliskich gniły w wilgotnej ziemi, albo stawiają pomniki, jakby liczyli, że dusza zmarłego przysiadzie na nagrobku i będzie czekała, aż ktoś wpadnie z wizytą, żeby mogła z nim pogawędzić. Do tej pory ja i Edward byliśmy więc zgodni.

– Nie sądzę, żeby zostawiła testament – rzuciłam. – Nigdy o nim nie wspominała. Będziemy musieli podzielić się dochodami ze sprzedaży domu i oszczędnościami. Zajmę się tym.

Zapadła cisza, a potem usłyszałam:

– Właściwie spisała testament. Kilka tygodni temu. Usłyszała w radiu, że każdy powinien to zrobić. Tłumaczyłem jej, że raczej go nie potrzebuje, ale sama wiesz, jaka była.

Miałam wrażenie, że jego ton zrobił się defensywny, ale może tylko mi się zdawało.

– Poważnie? Nic mi o nim nie mówiła.

Edward skontaktował się już z notariuszami, żeby poinformować ich o śmierci naszej matki, co uznałam za przejaw wyjątkowej praktyczności ze strony brata, bo jego umiejętności kierownicze ograniczały się do obstawiania zakładów, z których wygrane przeznaczał na kolejne zakłady albo na pizzę z dostawą do domu.

– Powiedzieli mi, że znajdą testament i skontaktują się z nami. Tę kwestię zostawiam im. Ja kompletnie się na tym nie znam.

W tym tygodniu miałam w pracy prawdziwe urwanie głowy, więc wbrew rozsądkowi byłam zmuszona polegać na Edwardzie. Udzieliłam mu szczegółowych instrukcji w kwestii zgłoszenia śmierci; podałam listę miejsc nadających się na stypę i kazałam zajrzeć do notesika, gdzie mama zapisywała adresy i numery telefonów, i skontaktować się z ludźmi, których należało powiadomić o jej śmierci. Zachnął się, kiedy spytałam, czy poradzi sobie ze wszystkim.

*

Kiedy skończyłam rozmawiać z Edwardem, była już dziewiąta. Przez cały dzień nie miałam nic w ustach – nie licząc dwóch ciasteczek Rich Tea na śniadanie – i kręciło mi się w głowie. Ugotowałam niewielką porcję ryżu i siedziałam przy kuchennym stole, walcząc z narastającymi nudnościami. Drzwi balkonowe do ogrodu były uchylone; do środka wpadał płacz noworodka z góry i smród z kublów na śmieci z domu obok. Powinnam wytłumaczyć, że mieszkam w mieszkaniu – na parterze przerobionego wiktoriańskiego segmentu – w południowym Londynie. Wynajmowałam je przez ponad dziesięć lat, aż w końcu właściciel budynku postanowił go sprzedać. Do tego czasu zdążyłam zaoszczędzić ze swojej nędznej pensji dość pieniędzy, żeby wpłacić zaliczkę. Jestem więc teraz właścicielką nieruchomości albo raczej wielkiego kredytu hipotecznego.

Kiedy siłą woli podniosłam widelec do ust, zobaczyłam

Winstona, kota sąsiadki, wielkiego, rudego kocura, lizącego futro na moich terakotowych płytkach. Nie przepadam za kotami, nie podoba mi się, jak przemykają pod zaparkowanymi samochodami czy przeciskają się między sztachetami, gdy człowiek wykona byle przyjazny gest. Winston jest jednak wyjątkiem. Kiedy podchodzę, ani myśli się ruszyć, toleruje też głaskanie, a gdy ma dość pieszczot, ziewa, przeciąga się i odchodzi. Nikogo się nie boi i nie czuje potrzeby przypochlebiać się nikomu. Kojarzy mi się z opowiadaniem Kiplinga *Kot, który zawsze chadzał własnymi drogami*, jednym z moich ulubionych w dzieciństwie. Przypominam sobie ojca, który w przebłyskach świadomości sadzał mnie sobie na kolanach i czytał mi je ze zniszczonego tomu *Bajek, które trzeba opowiadać właśnie tak*. Patrząc na Winstona, zastanawiałam się, gdzie teraz jest ta książka. Pewnie leży zapomniana w którymś z pudeł na strychu w moim rodzinnym domu. To z kolei przypomniało mi, że zanim wystawimy dom na sprzedaż, trzeba go będzie wysprzątać. W moim obecnym stanie myśl ta wydała mi się szczególnie przygnębiająca.

*

Kiedy kilka dni później zadzwoniłam do Edwarda, żeby zobaczyć, jak radzi sobie z powierzonymi mu obowiązkami, niepokojąco długo czekałam, aż odbierze. Już miałam się rozłączyć, gdy usłyszałam w słuchawce głos, który z pewnością nie należał do Edwarda.

– Hlo? – wymamrotał.

Zawahałam się, przeprosiłam, tłumacząc się, że wybrałam zły numer, i zakończyłam rozmowę, zanim

przypomniałam sobie, że przecież wybrałam numer z listy szybkiego wybierania. Po chwili zadzwoniłam ponownie. I tym razem usłyszałam ten sam nieuprzejmy głos.

– Dzwoniłam przed chwilą. Czy to dom państwa Greenów? Patricii Green, nieżyjącej Patricii Green, i jej syna Edwarda?

– Taaa.

– Tu siostra Edwarda, Susan. Chciałabym z nim rozmawiać.

– No tak, Susan. Jasne. Zaraz sprawdzę, czy gdzieś tu jest.

Usłyszałam stłumione głosy, a zaraz potem nadzwyczaj radosne:

– Cześć, Suze, jak się masz?

– Edward, kim jest ten mężczyzna i dlaczego odbiera telefon naszej mamy?

– Ach, to Rob. Powiedziałem, że może kimać tu przez kilka tygodni, dopóki nie poukłada swoich spraw. Właśnie wrócił z podróży. To świetny gość.

– Mam gdzieś, jaki jest świetny. Nie chcę, żeby po domu mamy kręcili się obcy ludzie. Powiedz mu, że ma się wynieść. Ledwie umarła i w domu jest pełno jej kosztowności.

– Posłuchaj, Suze...

– Susan.

– Posłuchaj, znamy się z Robem od college'u. Sama spotkałaś go kilka razy parę lat temu. Potrzebuje pomocy. Pomógł mi w trudnym okresie, więc teraz ja pomogę jemu. Nie wyrzucę go, bo nie ma dokąd pójść. – Lojalność mojego brata wobec kumpli do picia jest iście wzruszająca.

Postanowiłam zająć się tym osobiście, kiedy pojadę do

Birmingham; raz-dwa wyrzucę tego Roba z powrotem na ulicę. Tymczasem skierowałam rozmowę na najpilniejsze sprawy, czyli przygotowania do pogrzebu. Edward powiedział, że pewnie ucieszę się na wieść, że rozwiązał problem stypy. Wynajął salę na tyłach pubu Głowa Byka.

– Jeśli chcemy, możemy zorganizować własne jedzenie i wyskoczyć na dymka za barem – powiedział z dumą w głosie.

Wyjaśniłam mu, że to kompletnie niestosowne i że ma natychmiast wszystko odwołać.

– Mama była abstynentką. Byłaby przerażona na myśl, że jej stypa odbędzie się w pubie.

– Bzdura. Wcale nie była abstynentką. Od czasu do czasu lubiła napić się sherry albo piwa z lemoniadą. I chciałyby, żeby ludzie dobrze się bawili, a stypa w Głowie Byka gwarantuje dobrą zabawę. Nie życzyłaby sobie porcelanowych filizanek i miłych pogaduszek.

– Dokładnie tego by chciała. Taka właśnie była. Nie lubiła piwska i tańców.

– Ale tak właśnie będzie, Suze, i wszyscy będą się świetnie bawić. Ludzie będą opowiadać sobie zabawne historie na jej temat i wkurzać się, jeśli będą chcieli. A jak ci się nie podoba, wal się.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).